Dodatek do „Gazety Narodowej"

z dnia 4. Lutego 1897.

Zaciekłość pruska.

Lwów d. 3. lutego.

W organach pruskich konserwatystów obu frakcyj i nacyonał-liberałów rozprawa w pruskiej Izbie posłów nad interpelacyą p. Czarlińskiego pozostawiła posmak bardzo niemiły: Powszechnie dostrzeżono, że wszystko to, co pletli mowcy tych obozów, tudzież co prawił minister pruski, jakoś się nie trzymało i nikogo beztronnego przekonać nie zdoła. Najzacieklejszy wróg Polaków *Post*, organ bezzębych emerytowanych hofratów i dyplomatów, oświadcza nawet, że p. minister byłby lepiej zrobił, gdyby się nie był odzywał — przyznaje, że to, co prawił dr. Gerlich, pamiętający czasy r. 1847/48, jakoby teraz znowu Polacy w Prusiech zachodnich gotowi byli nabijać kosy i „kąpać się we krwi niemieckiej" nie ma właściwie sensu. Ale „Sokół" i jego mundur — woła *Post*, ale duchowieństwo polskie!" i dodaje: „Rząd będzie dopiero musiał z całą dosadnością postawić dowód, że przyznaje katolicyzmowi przynależne mu stanowisko, ale też bezwzględnie występywać będzie przeciw nadużywaniu katolicyzmu do celów Polski w dawnych granicach".

Otóż równocześnie, gdy się ten wywód pojawił w *Post*, ogłasza wolnomyślna *Breslaner Ztg.* list swego sprawozdawcy parlamentarnego, w którym czytamy:

„Na Ślązku rozwiązano zgromadzenia, ponieważ na nich po polsku przemawiano, i minister Recke miał sposobność dać odpowiedź na odnośną interpelacyę. Ten pan minister ma zwyczaj zachowywać u siebie wszystko uwagi godniejsze, i światu tylko przez szczelinę pozwala zajrzeć do swego serca. Taką nawyczką można osiągnąć nie jedno, tylko nie życzliwość interpelantów. A jednak sfinks ministeryalny jeszcze nazbyt wymownym wydał się konserwatystom; oświadczyli mu też przez swoich mowców, że wolał był cicho siedzieć. Juścić my się z konserwatystami nie godzimy w zapatrywaniach, ale w tym względzie mają oni racyę.

W rozprawie zabrało głos kilka polakożerców. Tylko sobie tych panów nie przedstawiajmy jako najgorszego miotu ludożerców. Owszem, ci panowie robią to pożeranie ludzi z największą gracyą. Indyanie północnoamerykańscy ubiwszy niedźwiedzia i spełniając bolesny obowiązek konsumowania jego mięsiwa, nie zaniedbują ubitemu składać pochwał i hołdów i drogą jego głowę wieńczą pstremi barwami. I nie inaczej postępują konserwatyści Gerlich i Limburg Stirum, gdy się wybierają w pochód wojenny na Polaków. Naczelnik plemienia Gerlich, ogłaszając swoją osobistą predylekcyę do Polaków, zagrał na nutę tak czułą, iż czulszej nie wynalazłby nawet młodzian indyański, „kwiat preryi" opiewający; a naczelnik naczelników Limburg-Stirum wszelkie oddał hołdy rycerskim cnotom szlachty polskiej. Tak więc zmyślnie ubarwiwszy głowę niedźwiedzia, zasiedli do smacznie przyrządzonej biesiady i skonsumowali zwierzę pochwalone i pokochane.

„Historye przytaczane na dowód grożącego od Polaków niebezpieczeństwa i dlatego przytłumionym ponuro głosem Kassandry wygłaszane, prawie wszystkie nie odznaczają się nowością. Regularnie odczytuje się ustępy z jakiegoś kazania, które prawił jakiś ksiądz polski albo młodziutki kosynier, i które się kończy okrzykiem: „Jeszcze Polska nie zginęła!" Regularnie też przytaczają owego starego męża niemieckiego, który żył 50 lat między Polakami i poświadcza, że tak źle jak obecnie jeszcze nigdy nie było. Fanatyzm — jeżeli p. Gerlicha dobrze poinformowano — jest potężny, że polskie matki odrzucają pomoc akuszerki pochodzenia niemieckiego. A no, juścić jest zbyt daleko idąca względność dla niemowląt. Upojony swemi anegdotami woła p. Gerlich: „Kto jeszcze pamięta, jak to za polskich czasów bywało, ten" i t. d...

Otóż podobno tego już sobie nikt nie przypomni bo to dość dawno temu. Ale ten nasz historyk może ma na myśli czasy, kiedy dzieła germanizacyi jeszcze nie tak jak dziś forsowano, czasy, kiedy to chorągiew biało-czerwoną z dachu wywiesić, melodyę polskiego hymnu narodowego gwizdać można było, i kiedy na zgromadzeniach po niemiecku przemawiać, nie było potrzeba!...

„Być może, iż patryotyzm jakiego Urgermana (pragermana) bywał wówczas tego rodzaju rzeczami martwiony ale — gdyby się p. Gerlich ot tak rozpytał w prowincyi Poznańskiej, dziewięciu ludzi na dziesięciu z pewnościąby mu odpowiedziała, że życie w Poznańskiem było wówczas przyjemniejsze, serdeczniejsze. Nie postępowano wtedy tak *militärisch korrekt* jak dzisiaj, ale się w zgodzie żyło. Zresztą, cokolwiek tam ma p. Gerlich na myśli, dobiera on chyba środków niewłaściwych. Musem ani jednej akuszerce niemieckiej nie przyorzy się zarobku."

Jeżeli obóz katolicki (takzwane centrum) szczerze sprzyja Polakom, o ile Prusak i Niemiec sprzyjać może, to znowu obóz wolnomyślny doskonale przeczuwa, że zaprawiona na Polakach hekaterya pruska taksamo *militärisch korrekt* zabierze się do wolnomyślnych jak do Polaków. Tak było w Rosyi, podżegani przez niemców i lutrów rosyjskich Rosyanie, oprawiwszy Polaków katolików, wnet i do tych Niemców lutrów się zabrali.

KORESPONDENCYE.

Londyn d. 22 stycznia.

(Precz z niemiecką wodą. — My house my castle w błocie. — Alkoholiczne koronki. — Koń, znający prawa. — Metamorfoza.)

Adieu! niemieckie wody. Niedokrewne angielskie ladies nie będą już z waszych błogosławionych źródeł czerpały rumieńców na twarzy i karminu usteczek, wasze przeraźliwie symetryczne place do lawn-tennisa opustoszeją, a okoliczne lasy nie będą się odzywały echem melodyjnej mowy Starej Anglii. Z patryotyzmu będzie się tu unikało wód, naznaczonych „made in Germany", a wszyscy rozkoszować się będą jedynie nektarem ze źródła Hampstead'u. Hampstead jest przedmieściem na północnym zachodzie Londynu. Odkryto tam podczas przebudowy jakiegoś szpitala źródło, którego woda ma być w smaku wstrętną tak, że możnaby ją wziąć bardzo łatwo za prawdziwą zaskórną wodę z nad Tamizy. Tylko, że chemik hrabstwa po dokonaniu analizy orzekł, iż woda ta jest „chabybica", t. j. zawierająca żelazo w sobie. Telegramy giełdowe, rozesłane na świat cały, doniosły, że w londyńskiej świątyni Mammona ludziska wydzierali sobie akcye „źródeł Hampstead'u". W każdym razie sezon, na który ze względu na jubileusz królowy już obecnie właściciele domów westendzkich bajecznych cen najmu żądają, prawdopodobnie wyawansuje teraz także na sezon kąpielowy czy wodny.

Zwyczaj wynajmowania własnych domów miejskich w tej lub innej epoce roku przybyszom ze Stanów amerykańskich i z prowincyi, albo też rodzinom deputowanych, zmuszonych do pobytu w stolicy, rozpowszechnia się z roku na rok, a szlachetnych książąt i hrabiów rodziny nie namyślają się ani na mgnienie oka nad decyzyą. Jeżeli tylko mają nadzieję dobrego zysku, bez namysłu odstępują na pewien czas własnych gniazd rodzinnych komukolwiekbądź, byle tylko zapłacił. Stali mieszkańcy wynajętego domu wybierają się w takim razie na wieś do dóbr swoich, albo za zdobyte tym sposobem pieniądze bawią się na Rywjerze, w Egipcie, lub — co najmodniejsze — w Indyach. Tym sposobem nasze piękne wyobrażenia o szlachetności uczuć i myśli wielkich panów angielskich rozpływają się w mgle bajek, a dumne wyrażenia takie, jak „my house my castle" stają się pustym dźwiękiem. Bo jeżeli amerykańskiemu hodowcy świń czy jego żonie wolno się wdzierać w łoże sypialne lady Holland, to nie można przecież z dobrą wiarą utrzymywać, że dom jest nietykalną świętością rodzinną, a sypialnia niczem niesprofanowaną świątynią małżeńską. Hodowca świń, wróciwszy do domu, opowiada znajomym z dumą, że podczas londyńskiego sezonu mieszkał w pałacu takiego a takiego księcia i że nawet w Anglii pieniądz jest atout'em.

A i z niejednego opowiadania o tem, jak ten i ów był gościem wysoko urodzonego arystokraty, bije dość silna woń kruszcu. Taki opowiadacz mógł być paying guest'em — gościem płacącym... Jak nie jest rzeczą ordynarną u shopkeepra czyli u garsona w piwiarni czy winiarni pożyczać na drobne wydatki, ale jest reczą w najgorszym smaku z takim człowiekiem obcować, tak też można stracić własną pozycyę społeczną, jeżeli się przyjmuje do domu obcych na stół i mieszkanie, ale wszystko jest w najpiękniejszym porządku, jeżeli się tych samych obcych, payning guest'ów, za słodko brzmiącą monetę zaprasza do siebie na przyjęcia. W istocie rzeczy na jedno to wychodzi, a jest ta jedynie różnica, że panig guest za łaskę bywania w domu rodziny tzw. wysoko położonej, nieco drożej płaci. Któremukolwiek szczegółowi życia londyńskiego się przypatrzeć, zewsząd wygląda *cant* i nic jak tylko *cant*.

Ot np. pani kupuje w jakimś wielkim magazynie z nadzwyczajnym ferworem przeróżne materjały toaletowe i nagle uczuwa mdłości. Panią tę prowadzą do restauracyi, połączonej z magazynem i każą coprędzej z najbliższego public house'u przynieść szklankę wódki. Wlewają ten nektar omdlałej damie w usta, a gdy przyjdzie do siebie, podają jej rachunek za poczynione zakupy. Figuruje w nim pozycya: „koronki-sixpence (25 centów)." „Przecież nie kupiłam żadnych koronek" powiada zadziwiona klientka. Kupczyk uśmiecha się słodko i rzecze: „Proszę o przebaczenie, ma'am, mamy polecenie na wypadek, gdyby która z pań miała ochotę napić się u nas wódki, wstawiać ją jako koronki do rachunku, aby pozycya była mniej rażącą dla męża, któryby miał ochotę kontrolować rachunek." Z powyższego można bezpiecznie wyciągnąć wniosek, że konsumcya wódki w magazynach modnych przez kupujące panie nie jest rzeczą zbyt niezwykłą. Wcale nie! Nie jestto także rzeczą niezwykłą poza magazynami, tylko naturalnie zawsze się to robi pod pewnymi pozorami. Jest w handlu cała masa przedmiotów, służących do ułatwienia tej konsumcyi tak np. w ostatnich czasach rozpowszechniła się sprzedaż bonbonów czekoladowych, napełnianych szkocką starką. W tym wypadku na bonbonach tylko tyle jest czekoladowej powłoki, ile koniecznie potrzeba, aby się cała sprawą nie wydała. A wszystko to nie jest żadną przesadą, są to szczegóły, które w razie potrzeby możnaby poprzeć dokumentami.

Zdawaćby się nawet mogło, jak gdyby konie tu tresowano tylko po to, aby ułatwiały swoim właścicielom spijanie gorzałki. Francis Tutterall, woźnica dorożkarski z Canterbury-Roadu ma w każdym razie konia, który wie, co ma czynić, gdy jego pan zadługo szukał prawdy na dnie kielicha. Ten to „cabby" miał do przebycia kurs do Horuseyu a kurs ten, ponieważ jest daleki, wywołać w nim musiał pragnienie. To też łyk czegoś pokrzepiającego, który „cabby" wlał potem w własne gardło musiał stać w prostym stosunku do długości kursu, bo Tutterall zasnął na koźle i zdał na konia troskę wyszukania drogi z powrotem do domu. Koń robił z początku co mógł, ale nakoniec i on doszedł do rozpaczy. Wtem ujrzał nagle niebieskie światło stacyi policyjnej. Wesoło pokłusował do niego, zatrzymał się przed bramą i rżał tak długo, póki się nie zjawił konstabl. Polismen nie mógł sobie długo zdać sprawy z wypadku, aż wreszcie rumak musiał odwrócić głowę i wskazać nią na kozioł i swego pana, którego odkryto na siedzeniu, pogrążonego w śnie głębokim. Czterech godzin potrzebowała dusza woźnicza do wyłamania się spod przemocy chmielu. Postawiony przed policyjnego sędziego tłumaczył się, że to pasażer jego potraktował go dwoma kieliszkami wódki, a ona na nim zrobiła tak silne wrażenie tylko dlatego, bo dwa całe lata był sumiennym zwolennikiem wztrzemięźliwości. Chociaż wyraził otwarcie głęboką wdzięczność za łaskawą opiekę i opiekuńczemu koniowi i jeszcze bardziej opiekuńczej policyi, to jednak dzielnego Tutteralla skazał sędzia na grzywnę i odebrał mu koncesyę. Ta druga kara była istotnie zupełnie zbędną wobec tak rozumnego konia.

Zresztą nie ma nikt wyobrażenia o tem, jakich się londyński lud środków chwyta, aby dojść do posiadania ulubionego napoju. Jednym z nich, stosowanym nie najrzadziej, zdaje się być kradzież kruszcowych szklanic do piwa z public houseów, które się następnie w domu przetapia i przerabia na fałszywe monety szylingowe i półkoronowe, a te znowu wydaje się chóćky nawet u tego samego okradzionego karczmarza na spirytualia — najchętniej w sobotę wieczorem, kiedy napływ do public-houseów jest bardzo podobny do powodzi. W jednym z takich wypadków, w którym u złodzieja przychwycono siedmnaście kruszcowych szklanek sędzia, przemawiający na podstawie długoletniego doświadczenia zwrócił uwagę na metamorfozę, jaką przechodzą owe naczynia: porter pot — to zarodek, podrobione pieniądze — to poczwarka, a gorzałka — to dopiero piękny motyl.

Ot. B.

Paryż d. 21 stycznia.

(Kochany Ludwiczek. — Lód i łyżwy, my i oni — najlepsza sztuka.)

Attache chińskiego poselstwa, imieniem Li-Czan poznał minionego roku pannę Gabryelę Bossetównę; która dawniej występowała na scenie teatru Odrodzenia jako statystka, a później żyła z innych sztuk, nie wyłącznie dramatycznych.

Li-Czan zdobył niezbyt rozpaczliwie bronione serce anioła Gabryeli i okazał się hojniejszym niż jego ziomek Li-chun-czan w chińskiej dyplomacyi daleko wyżej zaawansowany. Nie targował się, lecz najął nowej przyjaciółce mieszkanie na dystyngowanym bulwarze de Courcelles i wyznaczył jej oprócz tego 280 franków miesięcznie na drobne wydatki i szpilki. Gabryela znała dotychczas tylko zewnętrzne bulwary, nieco mniej dystyngowane, a sumę 280 franków razem widywała chyba tylko za wystawami kantorów wymiany, to też po świetnej zmianie losu przyszła do słusznego przekonania, że Chiny są niebieskiem państwem.

Dni, tygodnie i miesiące płynęły przyjemnie, Li Czan wchłaniał z zapałem entuzyastycznego neofity europejską kulturę, aż pewnego pięknego poranku otrzymał następujące pismo: „Jestem dla panny Bossetówny, której pan dajesz co miesiąc 280 franków, osobą drogą. Na dowód tego dołączam do tego listu słodki liścik panny Bossetówny, w którym czytać można, że nazywa mnie „kochanym Ludwikiem", „swojem wielkiem dzieckiem" i pod którym się podpisała „twoja na zawsze". Mnie łączą z nią od lat czterech ścisłe węzły, a rozdzielałem się od niej tylko dwa razy, t. j. wtedy, gdy musiała pójść do Saint Lazare'u (jest to szpital dla chorych więźniów płci żeńskiej). Sądzę, że te szczegóły wystarczą, aby pana skłonić do oddania mi mojej ukochanej. Ludwik Colombet."

Li-Czan udał głuchego. Powiedział sobie, że przeszłość Gabryeli nic go nie obchodzi i że w każdym razie lepiej jest, że w tej przeszłości miała „wielkie dziecko" niż małe. Na niesłuszne żądania swego poprzednika odpowiedział chińskiem milczeniem.

Za to „kochany Ludwik" wkrótce przemówił jaśniej. Oświadczył w następnym liście, że eksprzyjaciółce Gabryeli pożyczył 135 franków, a to sto w Trouville'u. 20 na gorset, a 15 na wykupno z zastawu jakiegoś klejnotu. Jeżeli Li-Czan „do jutra do siódmej wieczorem" pieniędzy tych nie zwróci, w takim razie chiński poseł dowie się, że jego attaché zakochał się w damie, która dwa miesiące spędziła w Saint-Lazare'ze i że tenże attaché rzeczonej pani naznosił rzeczy z poselstwa, które do niego nie należały, naprzykład kołdrę.

Gdy Li-czan i na to zachował uporczywe milczenie, Ludwik Colombet wykonał groźbę i napisał do posła. Chiński dyplomata oddał list policyi i zamiast 135 franków dostał kiedyś tu Colombet piętnaście miesięcy więzienia za usiłowane wymuszenie. Życie jest dla niejednego łańcuchem samych rozczarowań.

W ciągu rozprawy dowiedziano się, że biednemu Li-czanowi po odliczeniu wydatków, na które go Gabrjela narażała, pozostawało tylko 30 franków na osobiste utrzymanie. Zastawił prawie wszystko to po kolei, co z Chin z sobą przywiózł. Jakiż to wyraźny dowód na to, że prawdziwe poświęcenie i prawdziwą miłość można znaleść u nieeuropejczyków, ale też co za smutny szczegół tajemnic chińskiej dyplomacyi!

Spokojne wody w lasku Bulońskim rzadko kiedy pokrywają się powłoką lodową jako tako mocną. Tej zimy nie było jeszcze podobnego wypadku — gdyby jednak był lód na tej sadzawce, to jednak ludzie, choć cokolwiek się szanujący, nie chodziliby tam w żadnym razie. Bo nie należy do dobrego tonu mieszać się z tłumem.

Dobry ton wymaga należenia do jednego z owych eleganckich klubów, które w lasku mają swoje własne, odgraniczone tory ślizgawkowe. Tam można w spokoju jeździć na łyżwach, nie mając sobie nic do wyrzucenia i dopiero z tych torów przechodzi się nazajutrz do łamów dziennikarskich, na których wyliczeni są „obecni". W pozornie demokratycznej rzeczydospolicie towarzystwo jest królem i słońcem.

Głównem miejscem zboru dla łyżwiarzy jest i obecnie „Palais de glace" i jego sztuczny tor na polach elizejskich. Dla łyżwiarzy wielka okrągła arena, dla widzów szeroki chodnik naokoło areny ze stołami i krzesłami i wreszcie balkon w połowie wysokości świątyni. Orkiestra na balkonie pracuje mniej więcej od 4 popołudniu do 12 w nocy.

Francuzi są dobrymi szermierzami i dobrymi cyklistami, ale ladajakimi jeźdzcami i łyżwiarzami. Owa okrągła arena cyrkowa, na której się ślizgają, sprawia, że przybierają maniery, cyrkowców. Jeżeli się komu uda ładny holender, patrzy zaraz po zgromadzonych z tryumfem — w tem są podobni do Włochów, którzy gdy w cyklodromie florenckim na koło wsiadają, przekonani są, że cała Europa na nich patrzy.

Od kilku dni ma Palais de glace niezwykłą attraction. Idą tam ludzie podziwiać miss Mabel Dawidson, Amerykankę, nazwaną przez kilku dziennikarzów „królową lodu". Mabel jest brunetką o trochę męskich ruchach. Ukazuje się w kostyumie tak niesmacznym, że płakać można. Aż do kolan wciśnięta jest w czarne kamasze, jak mali chłopcy paryscy, którym ten strój dano po to, aby skłonne do krzywizny nożęta zmusić do trzymania się linij prostych. Nad czarnymi kamaszami, których miss Mabel najwidoczniej w świecie nie potrzebuje — zaczynają się (okropność) błękitne, baloniaste szarawarki, wyglądające z pod błękitnej spodniczki. Stroju dopełnia błękitny stanik, bramowany białem futrem i błękitny beret.

Miss Mabel jest bardzo dobrą łyżwiarką, ale niczem więcej. Jest taką, jaką bywa koń, o którym sportsmeni w dziwnym swoim języku powiadają, że dobrze „stoi". To znaczy, że nigdy nie staje, jest bardzo wytrwałą w biegu, ciągle w ruchu. Robi najrozmaitsze sztuki, które wykonują nietylko sami kapłani łyżwiarstwa, tańczy nawet na końcach łyżew, co jak wiadomo nie ma nic wspólnego ze sztuką ślizgania się, a w dodatku, co najwyżej może ją tylko nabawić dotkliwego bolu w podeszwach. Pominąwszy owe baloniaste uzupełnienie stroju — nie pokazała dotąd nic sensacyjnego. Kto przyjeżdża do Paryża z krajów północnych, gdzieśmy się ze sztukami ślizgawkowymi od dzieciństwa obznajamiali, tego razi entuzyazm Paryżan dla takich jak u miss Mabel średnich talentów w tej szlachetnej sztuce.

Po produkcyach miss Mabel Davidson wolno wejść na tor łyżwiarzom minorum gentium.

Publiczność rzadko się zbiera w większej liczbie. Panowie stanowią większość. Panie, niektóre w dzikich sportowych kostyumach, a prawie wszystkie w krótkich toaletach należą z małymi wyjątkami do świata, który jest tylko jego połową. Jest mimo to możliwą rzeczą, że między nimi trafi się dama z zupełnego i całego świata, ale to często trudno tu odgadnąć. Aby odgadnąć, na to jedyna rada stanąć za krzesłem towarzysza owej pani i czekać. Jeżeli pan ów po powrocie doń pani, garsonowi daje kilka centymów na piwo, wówczas łyżwiarka jest napewno jego żoną siostrą albo córką, jeżeli zaś daje na piwo franka albo i więcej, można przysiąc, że pani owa nie jest pana żoną.

W obecnym bezprzykładnie jałowym sezonie teatralnym, jeden jedyny tylko, przynajmniej dotychczas — zdarzył się tryumf i to na najodleglejszym z bulwarów, na bulwarze Rochechouart. Tam w małym teatrzyku „Gaité Rochechouart" dają przegląd p. t. „si quon irait"? Gavaulta i Cottensa. Na wszystkie przedstawienia wszystkie miejsca już naprzód są rozkupione.

Przegląd ten nie jest tak bezmyślny i nudny jak przeglądy teatrów dystyngowanych, które wogóle i w szczególe niczem innem nie są, jak jak tylko wystawą dekoltowanych kobiet. W przeglądzie „Gaité Rochechouart" jest kilka ładnych piosenek, trochę pieprznych, ale za to dobrych dowcipów i kilka scen zajmujących.

Przegląd kończy się tem, że Li-chun-czang, który musi być w każdym przeglądzie, tu między publicznością występuje. Na dany znak jeden z aktorów, który dotychczas udawał widza, przyprawia sobie warkocz i zaczepia obok siedzącą damę, dama apostrofuje go, otaczający mieszają się w sprzeczkę, galerya dorzuca swoje uwagi i tak robi się nader ożywiona scena, która się kończy wkroczeniem policyi.

B. Z.

Hańba stulecia.

III.

Jak dalece bezwzględną — o tem przekonywa inna znów scena, także na podstawie „żywych dokumentów" w biuletynach odtworzona, którą tu w dosłownem tłómaczeniu przytaczamy.

Tym razem rzecz dzieje się między godnym małżonkiem pani Róży, Mendelem Eisembergiem, a biedną dziewczyną, która na kolanach błaga go o przywrócenie jej swobody.

Niewolnica: Panie! już nie mogę dłużej żyć w ten sposób. Trzy lata już „pracuję dla pana"; straciłam zdrowie; chcę ten dom opuścić.

Eisemberg: A gdzież się chcesz udać, moja kochana?

Niewolnica: Gdziekolwiek — byle na wolne powietrze; odkąd mnie pan kupiłeś, nie widziałam jeszcze nieba nad swoją głową, tylko przez kraty; pójdę, gdzie mnie oczy poniosą.

Eisemberg: Jakto! czy zapomniałaś, że to kraj ludożerców; że gdyby cię zobaczono samą na ulicy, każdy zrobiłby z tobą, co zechce, bo kobiety twojego rzemiosła na opiekę prawa liczyć nie mogą?

Niewolnica: Ależ panie, jeden z gości.. dał mi do odczytania taki papier po żydowsku drukowany, gdzie stoi, że konstytucya w Argentynie zabrania niewolnictwa, że ci, co nas kupują i sprzedają są zbrodniarzami; że jest stowarzyszenie opiekujące się kobietami sprowadzanemi z Europy na sprzedaż: że w tym kraju nie ma wcale ludożerców i że sprawiedliwość jest beztronną dla wszystkich, tak jak u nas.

Eisemberg: I ty temu wierzysz głupie stworzenie! Powiem ci więc naprzód, że ci, co te bzdurstwa drukują, są właśnie temi, co na waszą zgubę czyhają. Konstytucya? — Jaka konstytucya? Kto to ma być? Ja tu od tylu lat mieszkam, znam prawie wszystkich, a nigdy nie widziałem podobnej osoby, ani o niej nie słyszałem. Wymysł i koniec. A co się tyczy nazywania mnie zbrodniarzem za to, żem cię kupił, to oszczerstwo — bo ja tylko poprostu zapłaciłem koszta twego przejazdu trzecią klasą z Europy tutaj, co wyniosło 150 funt. szterl. Jeżeli zaś dotąd, to jest w ciągu trzech lat, jak jesteś w moim domu, nie kupiłem ci okrycia ani kapelusza, to dlatego, abyś nie mogła wyjść na ulicę i zginąć marnie, bo i w tem cię okłamano, że tu nie ma czarnych ludożerców. A czy policyant, co stoi na rogu ulicy, nie jest czarny, a sierżanci, którzy tu czasem przychodzą, nie są czarni? — Sprawiedliwość także istnieje, ale ona nie dla takich jak ty. Spróbuj tylko napisać skargę do magistratu, albo uciec, a zobaczysz, że cię natychmiast wtrącą do więzienia, gdzie zginiesz zapomniana i będzie tobie sprawiedliwość.

Niewolnica: Więc tym sposobem ja nigdy nie będę mogła być wolną?

Eisemberg: Owszem. Wiesz przecie, że ja nie trzymam kobiet starszych nad lat ośmnaście, ty je kończysz za kilka miesięcy, a wtedy poślę cię do Brazylii, gdzie dopiero zrobisz karyerę.

Niewolnica: Do Brazylii? do Rio de Janeiro? tam, gdzie panuje żółta febra?

Eisemberg: Nie moja kochana — ja mówię o innej Brazylii, której stolica nazywa się Rio Negro a tam febry nie ma.

Niewolnica: Więc poślij mnie pan tam natychmiast.

Eisemberg: Nie spiesz się tak bardzo. W Rio Negro wybuchła obecnie rewolucya; trzeba ją przeczekać. Zresztą musisz „popracować" tu jeszcze dla mnie z pół roku, żebym ci mógł kupić okrycie i kapelusz, co, jak ci to wiele razy mówiłem, kosztuje tu nie mniej i nie więcej tylko 500 funtów szterlingów.

Niewolnica: Ach panie! Jeśli dlatego mam się jeszcze przez pół roku mordować, to wolę się wyrzec wszystkiego. Nie mam już zdrowia. Wyjdę stąd w jednej koszuli, udam się do tego stowarzyszenia, o którem czytałam, a ono mi dopomoże.

Eisemberg (rozwścieczony): Ani mi się waż! Jesteś moją własnością, wiesz o tem dobrze. Sama już doświadczyłaś na sobie skutków nieposłuszeństwa; wiesz jak smakuje ciemna komórka o chlebie i wodzie i plagi. Drwię sobie z twojego stowarzyszenia! Niech ono się do nas nie wtrąca, bo je w proch zetrzemy. Mamy pieniądzie i umiemy ich używać, gdzie potrzeba. Rozumiesz!...

Niewolnica (wystraszona, z pokorą): Więc panie, kiedyż będę mogła być wolną?

Eisemberg (udobruchany): Powiedziałem ci już: za jakie pół roku. Pracuj gorliwie, jeśli chcesz mieć ubranie i kapelusz, a potem pojedziesz do Rio Negro, gdzie wkrótce będziesz opływać w złoto i wygody, stroić się w brylanty wielkie, jak kurze jaja, a wtedy przekonasz się, kto ci dobrze życzył, kto cię w błąd wprowadza — ja, czy twoje głupie stowarzyszenie.

Biedna, oszołomiona istota, przejęta nadzieją brylantów wielkich jak kurze jaja, całuje z wdzięcznością rękę swego ciemięzcy i powraca do jarzma.

Scena ta rzuca aż nadto jaskrawe światło na trudności zadania, jakie ma do zwalczenia szlachetne „Stowa-

rzyszenie opieki i pomocy." Pomimo to półroczna zaledwie jego działalność wydała już obfite owoce, już to przez wyzwolenie 20 kobiet z haremów, przy ulicy Janin i Lavalle, już to przez skuteczną interwencyę, udaremniającą niecne zabiegi handlarzy.

Pan Bart, stojąc na czele Stowarzyszenia, rozpoczął od tego, że pozawiązywał stosunki z policyą Petersburga, Warszawy, Wiednia etc... ostrzegając ją przeciw agentom, wysyłanym z Buenos Ayres do Europy. I tak, czytamy w biuletynach, że w październiku roku zeszłego sześciu werbowników żywego towaru przybyło do Warszawy z polecenia Rubena Sprinfiedera, jednego z czterech potentatów nikczemnej korporacyi.

Natychmiast p. Bart przesłał telegraczne ostrzeżenie oberpolicmajstrowi Warsnawy; rozwinięto energiczne śledztwo i wszyscy ci agenci dostali się w ręce sprawiedliwości.

Łatwo zrozumieć, jak tego rodzaju postępowanie zapobiegawcze, energicznie i wytrwale prowadzone zbawien ne może wydać skutki; rzecz prosta— o tyle, o ile dopomoże mu współudział, nietylko samej policyi odnośnych społeczeństw, ale i osób prywatnych. Chodzi tu, że się tak wyrazimy, o contrreklamę złego, a możliwe najszersze rozpowszechnianie wiadomości o handlu „mięsem ludzkiem" wśród ciemnych i ubogich mas proletaryatn. — Niech rodzice, mężowie, niech przedewszystkiem same te młode, niedoświadczone istoty, mogące stać się pastwą najhaniebniejszego z wyzysków, wiedzą co to znaczy, gdy jakieś nieznajomo indywiduum zbliży się do nich z tajemniczą miną i zacznie je kusić obietnicami rajskich jabłek za oceanem.

Wykształcona publiczność, względem której prasa spełnia w tym wypadku swój obowiązek informatorski, powinna się poczuć do tego samego obowiązku tam, gdzie słowo drukowane nie sięga.

Bo jakiż byłby cel, inaczej, brudzić wasze wyobrażenie, czytelnicy i zamącać pogodę waszych umysłów opisami tych ohydnych szczegółów, których pióro nasze ze wstrętem się dotyka.

Gdybyście mogli widzieć bezczelne fizyognomie tych czterech eleganckich panów, hersztów tej łotrowskiej szajki, których pertrety podaje jeden z biuletynów, tego Rubina Springfiedera, Mendela Eisemberga, Salomona Bluma i Traipe Agira. Przeszłość każdego z nich splamiona morderstwem, kradzieżą, gwałtem, zbiegostwem z za rat więziennych. I ci ludzie dzisiaj mają miliony, zdobyte za cenę takich zbrodni, wobec których bledną czyny Traupmanów, Pranzinich i Schencków. Ci ludzie, dzięki tym samym milionom i swej piekielnej zręczności, urągają najświętszym uczuciom i wierzą silnie, że znajdą zawsze dość podłe narzędzia, dość ciemne, próżne i leniwe ofiary, aby na nich w dalszym ciągu bezpieczeństwo swe i pomyślność opierać mogli.

KRONIKA.

Lwów d. 3. lutego.

Z wtorku. Była reduta we Lwowie mieście, w pieniężny dzień. Tam przy rozkosznych słów szeleście, wśród chórów pień mężów najtęższych tysiąc prawie i masek moc, pilnie służyło Bachusa sprawie do późna w noc. Potem i reszcie bogiń, bogów niósł szczodrą dań wielki tłum panów, starców, gogów i pięknych pań. Lecz niejednemu — ach! okropnie los srogim był! Nim na najwyższych ofiar stopnie wszedł — legł bez sił. Gdy zaś pierzchały nocy cienie przed okiem nieb, tylko ten widział dnia wskrzeszenie, czyj mocny łeb. Każdy uczestnik maskarady przez cały dzień chodził po mieście siny, blady jak marny cień, wszczepiał we wszystkich własne nudy i własną czczość, dnia jasność zmieniał w szare brudy, a radość w złość. Jeden wesele, ruch schowały dla siebie kąt: Stawy Panieńskie. Wydzielały tam dzieci prąd z siebie radości taki wielki, że się człek cieszył z nimi wszelki.

Z karnawału. Wczoraj była spora liczba solenizantek, mnóstwo też odbyło się zabaw domowych, co uwidoczniało się na mieście pewnym ruchem powozów. Z zabaw publicznych zanotować należy wieczorek z tańcami Towarz. śpiewackiego „Echo", który się odbył w sali klubu pocztowego. Bawiono się wybornie i ochoczo.

Dyrekcya lwowskiego teatru w pięknym zamiarze pobudzenia autorów dramatycznych do pracy, rozpisała konkurs na napisanie komedyi lub sztuki ludowej. Przysłane nam w tej sprawie zawiadomienie opiewa:

Ogłaszamy niniejszem konkurs na napisanie komedyi lub sztuki ludowej.

Warunki są następujące:

1. Utwór ma być osnuty na tle naszych stosunków; tło historyczne nie jest wykluczone.

2 Sztuka wypełnić musi cały wieczór.

3. Termin nadesłania (pod adresem dyrekcyi teatru hr. Skarbka we Lwowie) do dnia 1 września 1897.

Przeznaczamy dwie nagrody a mianowicie: pierwszą w wysokości 600 koron i drugą w wysokości 300 koron dla dwóch najcelniejszych utworów zastrzegając autorom tychże nadto prawo, pobierania tantiemy w wysokości 10%.

W skład sądu konkursowego wejdą wybitni znawcy literatury dramatycznej.

Lwów dnia 2 lutego 1897.

Juliusz Bandrowski. Ludwik Heller.

W Łęgu pod Żabnem, troje małych dzieci Stanisława i Teresy Banków, pozostawione bez dozoru, zapaliły pierzynę i udusiły się w dymie.

Nędza w Ameryce. Gazety newyorskie przepełnione są strasznemi wiadomościami o nędzy, panującej z powodu przesilenia ekonomicznego. „World" donosi, iż w samem Chicago 50.000 ludzi cierpi głód. Zimno, panujące od dłuższego czasu, znacznie pogorszają ich położenie. Według innych doniesień nędza w New Yorku nie jest mniejszą. „New York Journal" sądzi, iż ludzie, szukający reklamy, lepiejby zrobili, niosąc pomoc dotkniętym głodem we własnym kraju, niż posyłając żywność do Indyi.

Aforyzm Sienkiewicza, nadesłany do jednodniówki na warszawskie schronisko:

„Jam jest świeca" — rzekł rozum,
Miłość na to: „Bracie,
Jam słońcem — więc gdy zajdę
Dopiero czas na cię".

TELEGRAMY.

Wiedeń d. 3 lutego.

Podróż cesarza do Petersburga, która nastąpi w końcu kwietnia, zajmie 8 dni, z czego 4 dni pobytu w Petersburgu.

Wczoraj wieczór było tu 10° ciepła.

Wiedeń d. 3 lutego.

Rada administracyjna tow. naftowego Schodnica proponuje wypłacenie dywidendy 55 zł.

Linz d. 3 lutego.

Strejk robotników w oddziale bicyklów fabryki broni w Steyr został załagodzony. Dziś rozpoczną robotnicy napowrót roboty.

Lublana d. 3 lutego.

Wczoraj o 12½ w nocy miało miejsce silne, kilka sekund trwające trzęsienie ziemi.

Berlin d. 3 lutego.

Między robotnikami w kopalniach znowu obudziła się agitacya. Na wiecu delegatów chrześcijańskich górników, odbytym w Bochum, postanowiono żądać podwyższenia płacy o 10 do 15 prc. Przemówienia mowców miały charakter agitacyjny. Powszechnie zauważono, że prof. Adolf Wagner na wiecu tym stanowczo stanął po stronie żądań robotników. Z tego powodu *Hamb. Nachr.* pytają o ile wtrącanie się profesorów uniwersyteckich w sprawy między robotnikami a pracodawcami licuje z ich obowiązkami profesorskimi i czy władza nie powinna przeciw temu wystąpić.

Petersburg d. 3 lutego.

Senat potwierdził prawo dozwalające żydom, którzy uzyskali stopień akademicki zamieszkiwać we wszystkich miejscowościach caratu.

Rzym d. 3 lutego.

Rząd traktuje z kilkoma wielkimi kapitalistami o ewentualne oddanie Erytrei jako kolonii handlowej pewnemu konsorcyum.

Zaburzenia na uniwersytetach w Rzymie i Neapolu trwają dalej. Oba te uniwersytety zamknięto.

Kardynał Ledochowski ma z powodu wieku złożyć urząd propagandy a objąć godność notaryusza apostolskiej Izby.

Ateny d. 3 lutego.

Z Krety przyszły wiadomości o nowych krwawych bójkach między chrześcijanami a Turkami. Wszystkie sklepy w mieście zostały zamknięte. Między ludnością chrześcijańską wielka panika. Konsulowie starają się ludność uspokoić. Nowe te zamieszki wywołane zostały przez agitatorów, którzy chcą zniweczyć akcyę pokojową mocarstw.

Bruksela d. 3 lutego.

Na placu Wilkim i sąsiednich ulicach nastąpiła ogromna eksplozya gazu świetlnego w rurach przewodnich. Eksplozya nastąpiła wskutek tego, że iskra elektryczna od przewodników światła elektrycznego zapaliła gaz. Bruk na wielkiej przestrzeni został w górę wyrzucony. Panika powstała ogromna. Znacznych szkód i poważnych wypadków nie ma.

Charleroi d. 3 lutego.

Rozwód między księstwem Chimay sądownie został zatwierdzony.

Bombay d. 3 lutego.

Dżuma przybiera coraz większe rozmiary. Dostała się już do więzień w Bombayu i Karchi.

Wiadomości giełdowe.

— **Losowania.** Przy ciągnieniu losów St. Genois padła główna wygrana 50.000 zł. na nr. 29046, druga 5.000 zł. na nr. 25010, trzecia 2.000 zł. na nr. 73931, czwarta 1.000 zł. na nr. 22328.

Przy ciągnieniu losów włoskich czerwonego krzyża padła główna wygrana 20.000 lirów na seryę 2530 nr. 25, druga 2.000 lirów na seryę 2968 nr. 12.

Przy ciągnieniu losów z roku 1860 wylosowano serye: 215, 258, 312, 516, 586, 607, 889, 921, 1027, 1100, 1358, 1447, 1453, 1491, 2056, 2073, 2378, 2455, 2458, 2490, 2601, 2886, 2889, 2930, 3027, 3136, 3284, 3374, 3375, 3557, 3621, 3742, 4039, 4100, 4137, 4178, 4204, 4263, 4428, 4434, 4512, 4646, 4674, 4836, 4878, 4905, 5122, 5265, 5345, 5357, 5370, 5575, 5587, 5751, 5939, 6086, 6417, 6513, 6582, 6615, 6701, 6846, 6867, 7057, 7081, 7133, 7347, 7667, 7832, 7850, 7914, 8042, 8211, 8248, 8472, 8640, 8766, 8860, 8902, 9377, 9445, 9686, 9695, 9771, 9921, 9988, 10189, 10474, 10641, 10663, 10670, 10723, 10816, 10832, 10833, 10841, 11083, 11224, 11294, 11350, 11372, 11741, 11751, 11772, 11791, 11824, 11853, 11971, 12058, 12105, 12505, 12684, 12693, 13007, 13100, 13218, 13284, 13368, 13405, 13494, 13636, 13753, 13794, 14174, 14207, 14268, 14496, 14546, 14591, 14596, 14677, 14695, 14797, 14840, 14854, 14872, 14962, 15197, 15264, 15424, 15431, 15579, 16120, 16140, 16307, 16330, 16487, 16696, 16699, 16750, 16797, 16967, 17022, 17041, 17093, 17160, 17163, 17590, 17665, 17702, 17709, 17757, 17857. 17983, 17949, 17976, 18045, 18199, 18225, 18389, 18456, 18487, 18524, 18683, 18784, 18845, 18881, 18916, 19259, 19462, 19486, 19562, 19748, 19756, 19761, 19774, 19781, 19871, 19968.

Berlin dnia 3. lutego. Przy zamknięciu wczorajszej giełdy notowane: kredyty 236 40 (375·59), staatsbany 154·80 (363 06), lombardy 39 40 (91·79).

Frankfurt dnia 3. lutego. Przy zamknięciu wczorajszej giełdy notowano Kredyty 318·50 (375·54) statsbany 313·12 (362 89), lombardy 79 62 (91·58), alpiny —·— (—·—).

Cyfry oznaczone klamrami oznaczają wiedeński paritāt.

Nadesłane.

(Za tę rubrykę redakcya nie odpowiada.)

TEATR Hr. SKARBKA.

We środę dnia 3. lutego
po raz trzeci
„HARPAGONI"
komedya społeczna w 3 aktach E. Grabowieckiego.

Osoby:

Roman Niemirowski	p. Ruszkowski
Marta jego żona	pni Gostyńska
Helena ich córka	pni Stachowicz
Władysław jej brat	p. Wostrowski
Michał Hohendorf	p. Walewski
Karol Dębski	p. Chmieliński
Pni Józefowa	pni Płotowska
Marcinowa służąca	pna Rybicka
Chłopiec z restauracyi	p. Kasprzycki
Posłaniec	p. Czaki

Rzecz dzieje się w Warszawie.
Początek o godzinie 7. wieczorem.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor Platon Kostecki. Z drukarni i litografii Pillera i Spółki.